

otr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłumaczyła z francuskiego
Marya S.

11

Ciąg dalszy.

Rigolo zwrócił się do rybaka zaciekawiony:

— A co? Nie chwyta jakoś dzisiaj? — zapytał znacząco.

Rybak przyłożył palec do ust.

— Nie trzeba tak głośno mówić — odpowiedział szeptem — bo ryby się płoszą.

— Widać szczęście drwi sobie z nas, mój przyjacielu, od dwóch godzin zwracam na was uwagę i...

— ...I nie złowiłeś pan również ani jednej rybki... Pan nie jesteś rybakiem?

— Zaczynam nim być dopiero... to mój debiut na tem polu i jestem dziś roztargniony.

— Żle pan robi... to niedobrze. Nie chciałbym być niedyskretnym, a jednak ciekawy jestem, co może uwagę pana zajmować?

— Co?... a gdyby tak... spróbujmy... Czy wiecie, zaciekawia mnie trochę ten dom, ten, naprzeciw zamknięty od góry do dołu, jak jaki skład lub więzienie?

— A czy pan wie do kogo należy?

— Wcale nie, a pan?

— Ja! ej! bo widzi pan przybyłem tu dziś rano, zarzuciłem haczyk i śledzę każdy ruch wędki, nie zwracając na nic uwagi, poza moją wędką nic mnie nie obchodzi, aż do chwili, w której ją zwiżam i odchodzę.

I mówiąc to rybak wstał zabierając się do odejścia.

— Oh! pan już odchodzi? — zapytał zdziwiony Rigolo.

— Jakoś nie bierze dzisiaj i radzę panu nie męczyć się i uczynić tak, jak ja.

— Tak pan mi radzi?

— A tak! nie ułowi pan dziś nic napewno.

— Do widzenia więc drogi panie.

Rybak szedł już wysoko wybrzeżem.

— Do widzenia — zawołał głośno — do widzenia, do prędkiego zobaczenia panie Rigolo!

I znikł wybuchając śmiechem.

Rigolo z osłupieniem patrzył za nim. Człowiek, z którym mówił przed chwilą, znał go i poznał nawet pod przebraniem. To był Brzuchacz! Zmarszczka głęboka przecięła czoło Rigola.

— Oh! oh! — rzekł do siebie zwiżając swoją wędkę — tu się coś niedobrego dzieje, — hm, hm, a więc w tym domu jest coś, co zaciekawia pana Brzuchacza. Ah! na honor moich prababek, zgine, a dowiem się co te łotry knują.

Rigolo wściekły poszedł do domu. Był bardzo niezadowolony. Ten Brzuchacz coraz bardziej się mu nie podobał. Nie pierwszy raz spotykał go w okolicznościach ważnych i niebezpiecznych i zachowywał zawsze po każdym spotkaniu z nim dziwne wrażenie. To nie był człowiek do pogardzenia. Rigolo znał się na tem; to był jeden z tych podejrzanych mieszkańców podziemi Paryża. Pod grubymi a często brutalnymi pozorami widniało wiele zręczności, która wskazywała wiele sprytu i doświadczenia w pewnym kierunku. Kilka razy Rigolo chciał go wciągnąć w rozmowę, ale za każdym razem łotrzyk zakpił sobie z niego, lub zbył milczeniem.

Według zasad wytrawnego policyanta, człowiek który nie chce mówić o sobie, jest niebezpiecznym ptaszkiem i nie wiadomo co kryć może w sobie. Rigolo był teraz przekonany, że Brzuchacz jedynie dla niego był na wybrzeżu. Znał on widocznie ten dom, który zwrócił uwagę agentów, a może łączyły go stosunki z ludźmi, odwiedzającymi ten dom tajemniczy o dwóch wyjściach! Rigolo nie lubił zagadek, a ta była jedną z tych, która mogła go z niecierpliwości i spokoju wyprowadzić. Nie wspominał nikomu o tem wydarzeniu i w milczeniu i samotności ułożył plan działania. Cały dzień nie wyszedł z domu. Gdy wieczór już zapadł udał się na ulicę Bourbon, wszedł do winiarni i kazał sobie podać szklanek wino. Przebrał się w ten sposób, iż mógł być spokojny, że go rodzony ojciec nie pozna. Czoło jego zakrywała peruka z krótko strzyżonymi włosami, długa blizna przecinała mu lewy policzek, a dolna część twarzy ginęła w długiej siwiejącej brodzie. Kostium zaś jego był istotnie arcydziełem. Stara zniszczona bluza, wystrzępiona na łokciach, krawatka zmięta, zwinięta prawie w wałek i niedbale zwieszająca się na szyi bez kołnierza, spodnie z szarego płótna, z pod których wyglądały drugie ciemniejsze. Wszedł do

lokalu huśtając się na boki i usiadł w głębi sali. W tej chwili sala była pusta. Podano mu natychmiast czego zażądał. Rigolo zjadł i wypił z udaną żarłocznością, nie odzywając się ani słowem do usługującego chłopca.

Noc już nadeszła; kilku gości zajęło miejsca przy stolikach. Rozmawiali, pili i palili tanie cygara. Nic nie zwróciło szczególniejszej uwagi Rigola. Koło godziny dziesiątej wstał, zapłacił rachunek i wyszedł. Na ulicy zapalił fajkę i zaczął się kręcić koło numeru 36. Drzwi domu były zamknięte, tak samo okiennice; nigdzie ani śladu dozorczy.

Poszedł aż do końca ulicy i ku swojemu zdziwieniu zauważył po raz pierwszy ogród, dotykający do tego domu, do którego można się było dostać przez niską furtkę. Obejrzał ją z dokładnością znawcy. Najwidoczniej furtka ta nie była od dawna otwierana. Trawa rosła w szczelinach — gęste pajęczyny zwieszały się na zarzewiałych zawiasach i zamku. Zagadka stawiała się coraz trudniejszą do odgadnięcia i Rigolo zapytywał siebie, co mogła robić młoda kobieta w tym opustoszałym domu.

Nagle Rigolo usłyszał odgłos kroków, dzwiczących na asfalcie chodnika. Cofnął się więc spiesźnie w tył i ukrył w ciemności. Człowiek jakiś szedł w jego kierunku po ścieżce, prowadzącej do ogrodu.

Serce Rigola zabiło silnie. Miejsce, w którym się znajdował, było tak puste i opuszczone, że w dzień nawet rzadko kiedy ktoś tędy przechodził. Czekał więc niecierpliwie wyteżając wzrok w ciemności. Oczekiwanie nie długo trwało. Człowiek jakiś szedł szybko, dochodził już do ogrodu, wyjął klucz z kieszeni, otworzył furtkę i wszedł do środka zamykając drzwi za sobą.

Rigolo odetchnął. Noc była ciemna; nie mógł dojrzeć rysów twarzy owego człowieka, lecz pozostało mu wrażenie, że musiał on być młodym.

Ajent wyszedł z ciemności, gdzie się ukrywał i obszedł ogród i dom naokoło. Coś się tu działo anormalnego! Ale co? Rigolo byłby oddał w tej chwili pół życia za odkrycie tajemnicy. Szybkim ruchem obmacał kieszenie; na szczęście był dobrze uzbrojony. Miał przy sobie dwa nabite rewolwery, sztylet i bokser — dostateczne uzbrojenie, by oprzeć się nawet kilku ludziom. Dziwna pokusa o władnęła nim. Wahał się jednak, sam nie wiedząc z jakiego powodu.

Nagle okrzyk stłumiony wyrwał się z jego piersi. Na rogu domu spostrzegł okno z balkonem. wychodzącym na ogród. W oknie tem zajaśniało światło! Człowiek, który przeszedł koło niego, musiał tam być!

Rigolo już nie mógł zapanować nad sobą. Tego już było za wiele! Prostu ktoś jakby rozmyślił nie żartował sobie z niego. Powrócił zaciekawiony do furtki ogrodowej. Drzwi były zamknięte! Jak się wziął do tego, by się otworzyć mogły, pozostanie to już jego osobistą tajemnicą. Zdaje się jednak, że wytrychy nie były wynalezione jedynie dla złodziei i zbrodniarzy i uczciwi ludzie muszą się nimi posługiwać niekiedy. Po chwili drzwi się rozwarły pod zręczną ręką Rigola, a on sam żywo wbiegł do ogrodu.

Ścieżki, dawno już nieposypane żwirem, porastały trawą i zieleń — krzewy i drzewa porożstały się dziko i bujnie, tworząc rodzaj ciemnego korytarza, który prowadził do samego domu. Rigolo doszedł do ganku bez przeszkody. Dyskretnym krokiem przeszedł stopnie schodów i pchnął lekko drzwi do sieni.

Panowała tu ciemność głęboka, która nakazywała zdwojoną ostrożność i uwagę. Wyciągnął więc z kieszeni pudełko zapalek i zapalił jedną od razu.

— Ph! — zawołał uradowany — jacy ludzie są niesprawiedliwi, narzekając na złą fabrykę zapalek! Cudowny wynalazek!

Trzymając zapalkę między palcami szedł prosto do schodów pierwszego piętra.

ROZDZIAŁ XIII.

Tajemniczy dom.

Rigolo szedł już teraz krokiem pewnym i elastycznym. Ogarniało go dziwne uczucie. Przeczynał już teraz, że dom ten zamyka tajemnicę, mającą pewną łączność z dramatem, odegranym na ul. Monge.

Zaledwie przez mgnienie oka dostrzegł w ciemnościach, zalegających ogród, sylwetkę człowieka wchodzącego do tego domu i nie dalekim był od przypuszczenia, że człowiekiem tym była przebra-

na Lea. Ale po chwili musiał myśl tę porzucić. Człowiek ten był wysokiego wzrostu i nic w jego ruchach nie zdradzało kobiety. Któż to był więc? Rigolo szedł po schodach i przy świetle dogasającej zapalki dostrzegł drzwi na wpół otwarte. Wszedł do środka, przeszedł przez przedpokój i dotarł do salonu, gdzie gęsty puszysty dywan tłumił odgłos kroków.

Nie poszedł już dalej. Zapalka zagasła i zupełna ciemność otoczyła Rigola. Ajent zaczął się teraz zastanawiać.

Niebezpiecznym było iść dalej, każdy krok mógł zdradzić jego obecność... Przedewszystkiem chciał podejść znieśc człowieka, który tu był, zanimby się mógł zabezpieczyć przed wzrokiem kogoś obcego. Stał więc na środku pokoju niezdecydowany.

Po chwili słaby promień światła, przedzierający się przez dziurkę od klucza, wyrwał go z zamyślenia. Pokój, który widział z zewnątrz oświetlony, przylegał do salonu, w którym się znajdował... kilka kroków dzieliło go od człowieka, którego chciał śledzić... Zbliżył się szybko do drzwi i ciekawe spojrzenie zapuścił w dziurkę od klucza...

Człowiek jakiś siedział przy dębowym biurku, przed nim leżały porozrzucone różne papiery, które czytał wsparłszy głowę na dłoniach. Rigolo nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale dziwny dreszcz przebiegł go od stóp do głowy i cofnął się jakby przeżony własnymi myślami.

— On!... to byłby on!... szepnął głosem wzruszonym i cichym jak tchnienie.

W tej chwili mężczyzna podniósł głowę. Rigolo skoczył krok w tył, jak gdyby bojąc się być poznany.

— A to on do dyabła, czy ja śnię — szepnął prawie nieprzytomny. Przecież to nie może być prawdą! Czy to możliwe! Przecież dzięki Bogu nie utraciłem jeszcze wzroku. Na honor! śmiać się będziemy za chwilę! I nagłym ruchem nacisnął klamkę i wszedł do pokoju.

Na odgłos ten człowiek siedzący przy biurku odwrócił się i krzyknął.

— Pan!... to pan!... — rzekł wzruszony i pomieszany.

— Ja sam, panie Jerzy — odpowiedział Rigolo. — Gotów na pańskie usługi — dodał ironicznie.

Jerzy Beraldi wstał i postąpił kilka kroków ku agentowi.

— To pan mnie śledził — zapytał niezadowolony.

— Phi! to moje rzemiosło! i niech pan sobie z tego nic nie robi. Zresztą chyba ja mam więcej powodu do zdziwienia, niż pan: Co pana właściwie mogło sprowadzić do tego pustego domu, który, zdaje się nie mieć właściciela.

— To pan nie wie, gdzie się znajdujemy — zapytał Jerzy Beraldi.

— Gdzież?

Jerzy nie odpowiedział; wziął do ręki lichtarz i przeszedł na drugi koniec pokoju, gdzie się zatrzymał i lichtarz wznosił wysoko nad głową. Rigolo szedł za nim i spojrzał.

Na ścianie wisiał portret starca, którego twarz wyrażała energię i siłę; czoło miał wyniosłe — usta dumne i duże czarne oczy, a dziwnie łagodne wejrzenie.

Rigolo patrzył zdumiony i pomieszany.

— Któż to jest? — zapytał odwracając się do młodego człowieka.

Świecznik drżał w ręce Jerzego Beraldi.

— To jest portret hr. Bernarda de Tourelle — rzekł stłumionym głosem.

— Pańskiego ojca?

— Tak panie.

— A więc ten dom?...

— Należał do mojej rodziny... Spędziłem tutaj najszcześniejsze lata mojego dzieciństwa i postanowiłem, że zostanie niezamieszkałym do dnia, w którym będę mógł oczyścić honor i pamięć hrabiego.

Rigolo milczał; tysiąc różnorodnych myśli niepokoiło jego umysł, zamyślony poszedł za Jerzym Beraldim, który powracał powoli do biurka.

— Musiałem przerwać panu odczytywanie ważnych dokumentów familijnych — zapytał nagle ajent.

— Tak jest, nie myli się pan — odpowiedział młody człowiek. — Dla celu, do którego dążę, ważny jest najmniejszy drobiazg... i ciągle przyszukuję korespondencje mojego ojca, mając nadzieję, że przecież odnajdę w niej coś — pewne osobiste zwierzenia, poszlaki, które mnie naprowadzą na właściwą drogę.